

Był wolny, wolność była warunkiem jego istnienia. Ale chciał mieć też rodzinę i ją ode mnie dostał: dzieci, dom, opiekę. Oboje zrealizowaliśmy w życiu jakiś plan i oboje żeśmy umarli - o Kazimierzu Kutzu opowiada jego żona.

Z Iwoną Swiętochowską-Kutz rozmawia Aleksandra Pawlicka, Newsweek, nr 16, 15-22.04.2019 r.

NEWSWEEK: Napisała mi pani: „Boję się czasu, który powoli zaciera prawdziwy obraz męża".

IWONA ŚWIĘTOCHOWSKA-KUTZ: Boję się, że zgubię mojego Ziutę. Czytam, co piszą o nim, i widzę człowieka jednowymiarowego. A on był przepełniony barwami. Miał w sobie te jaskrawe i brudne też. Był estetą i turpistą jednocześnie. Siedział przy pięknym, starym biurku, a obok stała piwniczna metalowa szafka. Fascynowały go silne kobiety, jak jego matka i babka, a ciągle szukał łagodnej, niezepsutej blondynki, która - jak w filmie - umyje mu nogi w misce. Taki był. Pełen wad i zalet. Mały Kazio i wielki artysta.

Boi się pani, że stanie się pomnikiem?

- Pomnik to on sobie sam wznosił całe życie, nie mam zamiaru ani go obalać, ani obłupywać. Jednak gdy wszyscy wiedzą lepiej, jaki był, zaczynam się zastanawiać: kurczę, może to j a go nie znałam? Ale też czuję bunt. Nie chcę, żeby stał się kukłą pozbawioną życia. Bo tak jak on był pazerny na życie, to jest mało kto.

I o tym zachłannym na życie Kazimierzu Kutzu chciałaby pani opowiedzieć?

- Gdy zmarł, byłam pełna złości, goryczy. Pytałam: Dlaczegoś mnie tak zostawił? Po co żeś się ze mną żenił? Po co ci żona, skoro kochałeś tylko ten Śląsk? I wtedy odezwała się do mnie koleżanka, której nie widziałam ze 40 lat. W czasie przeprowadzki znalazła moje notatki, które pożyczyła w dawnych czasach. A wśród nich list napisany przez Ziutę, gdy byliśmy narzeczonymi. W tym liście jest wszystko, co było między nami. Pisze, że został zgwałcony przeze mnie, za co mi bardzo dziękuje i przysięga, że nie będzie dupcył żadnej innej kobiety ani mężczyzny, tak mu dopomóż honor Polaka. I będzie mnie wielbił do końca. I tak mu dopomóż Bóg i penis. Cały Ziuta. List pisany na maszynie, na kartce wyrwanej ze skoroszytu, z jego odręcznym podpisem czerwonym długopisem.

Co pani czuła, gdy zobaczyła ten list po latach?

- Wszystko złe odeszło. On mi teraz daje takie znaki.

Jakie znaki?

- Gdy odwiedza mnie ktoś, kogo nie lubił, nagle zaczyna grać na cały regulator muzyka, której słucham w domu zawsze po cichu. Jakby chciał zagłuszyć rozmowę. Albo przypadek z obrączką. Lekarze kazali mu zdjąć obrączkę, gdy czekał na operację. Zaparł się, że nie. Namydliłam więc ręce i zaczęłam z nim rozmawiać. I mimochodem, gładząc go po dłoni, zdjęłam tę obrączkę. Powiedziałam: „Jak będzie po wszystkim, dostaniesz z powrotem". Oddałam mu ją, gdy wrócił do domu, ale wetknął ją tak, że szukaliśmy trzy lata.

Odnalazła się po śmierci?

- Gdy postanowiłam oddać wszystkie jego rzeczy do Muzeum Śląskiego, które współtworzył, poprosiłam tylko, żeby oddali mi obrączkę, gdyby ją znaleźli. I wtedy pani nadzorująca pakowanie powiedziała: „Wydaje mi się, że mignęła w szufladzie biurka". Sprawdzaliśmy tę

szufladę z Ziutą sto razy. I nagle jest. Jakbym usłyszała od niego: „Szukałaś? Masz”. On siedzi gdzieś tam w chmurach i nadal prowadzi tę swoją grę.

Jaką grę?

- Jak u Szekspira: „Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają”. Bawił się życiem jak teatrem.

Swoim życiem?

- Swoim i innych. Wszystko musiało kręcić się wokół niego. Przyszedł na świat po to, żeby go kreować.

Może dlatego został reżyserem?

- W ostatnich latach każdemu opowiadał, że pisze bestseller. Redaktor Jerzy Ulg z wydawnictwa Znak dzwonił co jakiś czas i pytał, jak postępy w pisaniu. Ziuta rozsiadał się w fotelu i czytał mu kolejny fragment, nie mając przed oczami ani linijki teksu. Jurek był przekonany, że słucha powstającej książki. Kutz był urodzonym gawędziarzem. Mógł gadać, gadać i gadać. Teraz Jurek chce odnaleźć bestseller, a ja mu tłumaczę, że bestsellerem był po prostu mój Ziuta.

Dlaczego nazywała go pani Ziutą?

- Dokładnie rzecz biorąc, tak nazwała go moja siostra. Mieszkała za granicą i w stanie wojennym, chcąc zapytać, co u nas, czy mąż nie siedzi w więzieniu, pisała w listach: „A jak tam twoja gosposia? Pisz, co z Ziutą?”. Mężowi Ziuta się spodobało i zawsze już tak do niego mówiłam.

Kiedy zorientowała się pani, że dla męża życie to ciągła kreacja?

- Trochę czasu minęło. Poznałam go, mając 20 lat. On miał 48. To było kompletne szaleństwo od początku do końca. Ja byłam w fazie buntu, on już po, ale moim buntom pobłażał.

Był już człowiekiem sukcesu.

- Był po pierwszych ważnych filmach: „Soli ziemi czarnej", i „Perle w koronie", ale miał okres zapaści, nic nowego nie przychodziło mu do głowy. Poznaliśmy się w Teatrze Wybrzeże w 1978 roku. Świetnie się nam rozmawiało. O sztuce i życiu, o duchowości. Był takim plastrem.

Plastrem?

- Na każdą ranę. Po latach zauważyłam, że on obdarza zrozumieniem każdą kobietę i dlatego tak go uwielbiają. Gdyśmy się poznali, był w związku, ja też. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie potrafi ułożyć sobie życia Miał już na koncie dwa małżeństwa. Tłumaczyłam mu, że największą głupotą jest to, że zakochuje się i wiąże z młodymi kobietami. „Wyobraź sobie – mówiłam - co będzie za 20 lat! Ty stary, ona wciąż młoda". Aż pewnego dnia klęknął na Monciaku i zapytał, co bym zrobiła, gdyby mi się oświadczył. Odpaliłam, że pękłabym ze śmiechu. No to sobie popękałam...

Powiedziała pani, że kochał tylko Śląsk.

- Jeszcze przed ślubem pojechałam z nim do Katowic. Tak naprawdę pierwszy ślub wzięliśmy w Gdańsku, w teatrze. Udzielił nam go Jurek Łapiński, świadkiem był jego jamnik i to był dla nas najważniejszy ślub. To właśnie po nim napisał ten list. W Katowicach, dopóki nie było dzieci, byliśmy cały czas razem. Nierozłączni. A potem dość szybko okazało się, że jego pierwszą miłością, a może i jedyną, jest Śląsk. A za tym Śląskiem kryje się mama. To był świat, za którym tęsknił, którego mit budował całe życie.

Ale przeprowadził się do Warszawy, bo - jak mówił - na Śląsku by umarł.

- To nie wynikało z głębokiego przemyślenia, że ten Śląsk taki brudny, biedny i bez perspektyw. Myśmy nie mieli z czego żyć. Zaczął się stan wojenny. Jego internowali, ja odeszłam z pracy. Na komisariatach niby w żartach mówili mi, że mąż pewnie jest już na Syberii. Po jego ostatnią pensję zaprowadzono mnie do telewizji z karabinem przy głowie. Chciano wyrzucić mnie z mieszkania, bo nie przemeldowałam się z Gdańska. Jedzenie i ubrania przysyłała mi rodzina. Pakowali paczki do pociągu i przejmowałam je od obcych ludzi na dworcu. Gdy Ziuta wrócił z internowania, zaszłam w ciążę.

Wtedy zdecydowaliście się na przeprowadzkę?

- On zdecydował. O tym, że wyjeżdżamy, dowiedziałam się od znajomych. Mogliśmy wyjechać za granicę, gdybym zgodziła się wziąć bilet w jedną stronę w czasie, gdy był internowany. Uważałam jednak, że nie mogę podejmować takich decyzji sama. Ziuta wrócił do domu częściowo sparaliżowany. W celi leżał na betonie, a był świeżo po operacji. Przestraszyli się i przywieźli go do domu. Postawili pod drzwiami i uciekli. Nie poznałam go. Stał starszy pan, siwy, z brodą, a poszedł młody człowiek.

Kazimierz Kutz, opowiadając o internowaniu, wspomniał głównie jajecznicę, którą zaoferował funkcjonariuszom, gdy po niego przyszli.

- Cały Ziuta. U niego opowieść musiała być intrygująca, dowcipna, ale ja wiem, ile w niej prawdy. Opowiadał dziennikarzom, I że kłóciliśmy się całą noc, bo ja bałam się, że zostanę sama. A to ja musiałam go całą noc uspokajać, że na pewno przyjdą. Przyjechał do domu przejęty, że nikt na niego nie czekał na dworcu, pod domem też nikt. „Dlaczego, kurwa, po mnie nie przyszli?”. Przyszli następnego dnia. Ziuta radośnie zapytał: „Panowie, może jajecznicę?”. A oni: „Nie, bibułę”. Ale pozwolili mu zjeść. Jakieś złośliwości przy tym były, że to może ostatnia jajecznica w jego życiu. To się śmiesznie opowiada, ale wtedy nie było śmiesznie.

Była pani na niego zła?

- Rozumiałam, jak ważne dla niego jest być internowanym, gdy inni też siedzą, ale zrozumiałam też, że nie jestem najważniejsza. Nie zapytał: „Co z tobą? Jak dasz radę?”. Tylko: idę i teraz będę męczennikiem. I zawsze już tak było. Całe życie szedł na wojnę, był wojownikiem. Do przodu, łokciami, nogami, czym się da, nie zważając, że za nim nikogo nie ma.

Jak pani sobie z tym radziła?

- Gdy byłam w jednej ciąży, drugiej, trzeciej, a jego nie ma, bo walczy, bo robi sztukę, bo ma spotkania, bo to, bo tamto i tylko dzwoni, żeby zapytać, co słychać, to kładłam słuchawkę na podłodze, żeby słyszał krzyki dzieci. Ostatnio koleżanki przypomniały mi sytuację z ostatniej ciąży. Byłam już po terminie, on pracował w telewizji w Krakowie, w domu dwójka małych dzieci. Poprosiłam: „Przyjedź”. A on: „Wytrzymaj jeszcze chwilę, do czwartku!”.

I pani wytrzymała.

- Przyszedł czwartek, zaczęły się skurcze, jego nie ma. Organizuję pomoc do dzieci, wszystko gotowe i wtedy zjawia się mój mąż. On nie prowadzi samochodu, więc ja z tym brzuchem siadam za kierownicą. Przez skurcze ledwo dosięgam pedałów, a on krzyczy: „Jedź, kurwa, jedź! Pierdol to czerwone, dziecko się rodzi!”. Gdy wróciłam po porodzie do domu, dziewczyny zdały mi relację, jak to opowiadał: że światła nie działały, a on jechał i jechał. Każdą sytuację potrafił opowiedzieć tak, żeby być bohaterem (śmiech).

Dziś się pani z tego śmieje.

- Ale wtedy był we mnie gniew. Bo w teorii rodzina była najważniejsza, a w rzeczywistości zawsze był tylko on. Wyczytałam w jednym z jego wywiadów opowieść o tym, jak stał w oknie ze znajomym i patrzył, gdy wracam do domu z dziećmi. Świetnie pamiętam tę sytuację: pchałam wózek, w rękach siaty. Po latach dowiedziałam się, że mówił wtedy: „Widzisz tę kobietę? Sam to wymyśliłem”. Był z siebie dumny, a ja wściekła.

Czuła się pani upokorzona?

- Upokorzona? Nie. U nas były takie spięcia, że korki wysiadały. W książce „Piąta strona świata" napisał, że mądra żona pozwala mężowi na romanse i czeka na niego w stajence. Dziennikarze pytają, co ja na to. A ja anioł nie jestem, więc odpowiedziałam: „W stajence całkiem fajnie, czasami ogier jakiś wpadnie". I mąż się obraził, bo wykreowany przez niego obraz miał być inny. Był człowiekiem sprzeczności. Chciał być wolny, ale potrzebował w tle rodziny. Tak samo było z jego religijnością. Odrzucał wszelkie dogmaty, a półki w jego pokoju uginały się od Matek Boskich, krzyży, Chrystusików i Biblii, które kupował przy różnych okazjach.

Deklarował się jako ateista.

- Bo nim był, ale ciągle czytał Biblię. Nie szukał w niej Boga, tylko mądrości. Każdy chce być najmądrzejszy, lecz u niego desperacja w dążeniu do tego była na maksymalnym poziomie. Długo walczył ze swoją gwarą i trzeba przyznać, że opanował język literacki fantastycznie, jednak w ostatnim etapie choroby, dwa tygodnie przed śmiercią, wrócił do gwary. Jakby powracał do embriona, którego nosił w sobie.

Może to ciągłe reżyserowanie życia było kreowaniem siebie?

- Może. Może wynikało z kompleksów? Bo on zawsze startował z pozycji ofiary: komunizmu, familoków, biedy, Niemców, kolegów z filmówki. I ciągle walczył o to, aby udowodnić, że tą ofiarą nie jest.

Kiedy dowiedział się, że ma raka?

- W1994 roku. Na premierze „Śmierci jak kromka chleba" w Katowicach źle się poczuł. Nie było mowy, żeby odpuścił. Wszedł na scenę z cewnikiem ukrytym w spodniach. Przed wejściem czekała karetka, żeby od razu go zabrać.

W wywiadach mówił, że ma raka, ale nigdy, że raka prostaty. Mówił: męski rak.

- Męski i że ma go w dupie. Bo przecież on musiał być bohaterem, który wygra z najgorszą chorobą. Inni się mamlaszą, a ja proszę - jestem twardy chłop i żaden rak nie będzie mi psuł mojego scenariusza. I nie psuł. Mimo że pierwsza diagnoza brzmiała: pół roku. Jechaliśmy z tej premiery w Katowicach do Warszawy prosto na stół operacyjny.

Operacja okazała się skuteczna?

- Wraz z prostatą udało się zlikwidować źródło nowotworu. Przynajmniej tak to przez wiele lat wyglądało. Oczywiście równocześnie były różne terapie onkologiczne. Pamiętam wizytę u profesora, który powiedział: „Przyszedł pan za późno". Ziuta kiwa głową i pyta: „To ile mam jeszcze przed sobą?". „Tak to nie możemy rozmawiać - odpowiada profesor - ale będę szczery: naprawdę jest bardzo późno". Wyszliśmy z gabinetu i mój mąż pyta: „Co on pierdoli, że za późno?". „Ziuta, jak jedziesz do profesora, to nie możesz się spóźniać. Byliśmy umówieni na dwunastą" - próbowałam rozładować żartem sytuację. A on: „Byliśmy przed dwunastą". Ja: „Chyba na twoim zegarku". I nagle widzę, że on w to uwierzył, bardzo chciał uwierzyć w tę wersję wydarzeń.

Nie wiedział, że jest chory?

- Nie chciał wiedzieć. Gdy pojawiały się przerzuty, opowiadał w wywiadach, że jest niepokonany. Miałam umowę z lekarzami, że mówią mnie. Nie jemu. Przez lata lekarstwem był dla niego ten dom. Kupiliśmy go zaraz po pierwszej operacji. Nie wyobrażałam sobie, aby z jego charakterem wrócił do bloku. Musiałam znaleźć miejsce na tyle daleko od Warszawy, żeby nie było pielgrzymek. Przejmował się każdym krzaczkiem, cieszył dużą kuchnią, tym, że ma spiżarkę. Uwielbiał gotować. Opowieść, że za 10 zł gotował zupę przez trzy dni, można włożyć między bajki. On gotował za 300 zł jedną zupę i karmił nią wszystkich. Można było pułk wyżywić. Uwielbiał, gdy ludzie jedli i mówili, że im smakuje.

Jak długo nie dopuszczał myśli, że jest chory?

- Po terapii hormonalnej usłyszał, że wynik jest świetny, bo testosteron mamy z głowy. Zapytał mnie: „A co to ten testosteron?". Mówię, że zbij a się to, co jest odpowiedzialne za tworzenie

komórek rakowych. „Ale co to dla mnie oznacza?" - drążył. „No jak mam ci to powiedzieć? Będziesz jak baba w klimakterium". Aha - odparł i robił sobie z tego dowcipy. Do końca chciał się bawić kreacją.

Nawet, gdy przyszedł ból?

- Był przekonujący w roli niezłomnego. W efekcie nikt nie wierzył w to, jak poważny jest jego stan. Miał przerzuty' na żołądek, guz podpięty klipsami, żeby nie dopuścić do krwawienia, a on ciągle grał chojraka. I zgadzał się na wyjazdy, na spotkania. Próżność wygrywała.

A może to była niezgoda na starość i ubezwłasnowolnienie chorobą? Cztery lata temu udzielił mi wywiadu, w którym mówił, że starość to „grzebanie się w gównie" i że czuje się „jak wieprz prowadzony na rzeź".

- Pamiętam ten wywiad. To był moment, gdy do choroby dołączyła głęboka depresja spowodowana porażką w polityce. Dał się uwieść Palikotowi, uwierzył, że poleci w kosmos. I spadł z bardzo wysoka. Wtedy wyrzucił telefony, zerwał kontakty, obraził się na cały świat. Wszystko postrzegał jako działania przeciwko sobie. Zamknął się w bunkrze i strzelał do każdego, kto próbował do niego podejść. Okres wychodzenia z tej depresji okazał się zmianą w nim samym.

Na czym ta zmiana polegała?

- Zaczął uciekać od prawdziwego życia. Czytał portale plotkarskie, tabloidy, oglądał programy kulinarne. Szukał czegoś, co zajmie głowę, ale nie będzie zmuszało do wysiłku. Bo zaczął się już ból. Kolejne przerzuty.

Ile trwał ostatni etap choroby?

- Cztery miesiące. Oczywiście nadal próbował reżyserować życie. Na proste pytanie lekarzy,

czy go boli, opowiadał o łąkach, o roślinach, które rosną i więdną... Trafiliśmy na nieprawdopodobną kadrę. Zachowali się cudownie, stworzyli nam warunki do godnego umierania. Pozwolili mi być z nim dzień i noc. Spałam z nim w pokoju. Chciał, żebym śpiewała mu kołysanki, a gdy przysypiałam ze zmęczenia i nagle się budziłam, słyszałam, że on mi śpiewa.

Nie rozważaliście hospicjum domowego?

- Bardzo chciał wrócić do domu. Wszystko było przygotowane, ale był jak kłoda, więc przed powrotem próbowaliśmy go rozruszać na rehabilitacji. Wkradła się bakteria. Gdy udało się z nią uporać, poszedł pęcherz i trzeba go było operować. Trafił na stół w dniu, w którym przyznawano mu doktorat honoris causa w łódzkiej filmówce. Potem była już równia pochyła.

Był do końca przytomny?

- Pewnego dnia zauważyłam, że mnie nie poznaje. „Wiesz, kim jestem?" - zapytałam. Zaprzeczył. „Przyjrzyj mi się" - poprosiłam. „Krystyna?" - odparł niepewnie. „Nie. Krystyna była twoją pierwszą żoną". „To ile ich miałem? - zapytał. Trzy. „O, kurwa! Ale narozrabiałem". „Na trzeciej się zatrzymałeś i to jestem ja. Iwona". Patrzył, patrzył i w końcu powiedział: „Iwona. Jak ja to zapamiętam? Już wiem. Pere-Lachaise, Iyonne. Widzę to. Widzę. Już cię nie zapomnę". I do końca mówił do mnie Wonne. Miałam wrażenie, że traktuje mnie jak nowo poznaną kobietę. Świat wokół nie istniał, tylko my. Tacy rozkochani bez granic.

Zdążył się pożegnać?

- Wstydził się ludzi, których kojarzył. Nie chciał, żeby go widzieli w takim stanie. Pożegnał się z Jurkiem Trelą i Zbyszkiem Zamachowskim. Jurkowi powiedział, że umiera, i to było ich ostatnie spotkanie.

A z panią?

- Zwykłe w nocy, tak między pierwszą a wpół do drugiej, odzyskiwał świadomość i wtedy mnie wołał. Potwornie bał się być sam. Był przekonany, że jeśli zniknę, to on umrze. Te wszystkie wywiady, w których opowiadał, jak nie boi się śmierci, to literatura. Człowiek trzyma się życia pazurami. W śmierci jest coś tak wielkiego i tak nieznanego, że mądrzy możemy być w teorii, ale gdy przychodzi się z nią zmierzyć, jesteśmy całkiem bezbronni.

Był bezbronny?

- Pewnej nocy powiedział do mnie: „Mytu umieramy". W pierwszym momencie chciałam z nim o tym rozmawiać, ale powiedziałam tylko: „Wiem". Po chwili ciszy powiedział: „My tu umrzemy". Ja znowu: „Wiem". I dodałam: „Ale patrz, nie jesteś beze mnie". I słyszę ciche: „Wiem". To była nasza ostatnia rozmowa.

Ostatnie słowa?

- „Dziękuję. Przepraszam. Do widzenia". Wtedy chciał już odejść. I odszedł.

Jakby zszedł ze sceny.

- Zastanawiam się, jakiej nauczył mnie lekcji? Zawsze miałam poczucie, że nie jestem z człowiekiem, tylko z kosmitą. Że jesteśmy z różnych planet. Dziś widzę, że buntowałam się przeciwko temu, co łączyło Ziutę ze światem zewnętrznym, a nie z domem, podczas gdy on tworzył obraz ciepłego, rodzinnego faceta. Stąd rodził się mój bunt, bo nie znoszę kłamstwa. Ale to nie było kłamstwo. Po wszystkim zrozumiałam, że on był o kilka długości przede mną. Był wolny, wolność była warunkiem jego istnienia. Ale chciał mieć też rodzinę i j ą ode mnie dostał: dzieci, dom, opiekę. Dziś wiem, że i ja sobie tak to życie wymyśliłam. Czyli oboje zrealizowaliśmy w życiu jakiś plan i oboje żeśmy umarli. Tego dnia, 18 grudnia 2018 roku, wszystko się skończyło.

Ale pani żyje.

- Muszę zadbać, aby jego dorobek nie został rozdrapany. Wszystkie jego książki oddałam do biblioteki, a rzeczy do muzeum. Muszę sprzedać dom, bo nawet dla mojego kota jest za duży. Muszę zrobić Ziucie pomnik na grobie z bordowego kamienia, bo to jego ulubiony kolor.

Chciał być pochowany na Śląsku?

- Nie. Chciał być pochowany w ogródku, pod orzechem, ale tam leży pies poprzednich właścicieli i nie wiem, jak by się czuł. Mam jeszcze część jego prochów. Na Śląsku jest główny grób. Trochę jest go w górach, które bardzo kochał. Trochę z mamą w jej grobie. Muszę to wszystko uporządkować, a potem bez żalu... Już nic nie jest mi potrzebne.

Życie nie jest wartością?

- To nie tak. Teraz to nie jest ważne. Nażycie patrzę jakby przez szybę. Moje życie to było przeszło 40 wspólnych lat. Bardzo barwnych lat. Cały czas rollercoaster. Raz jedno trzymało drugie za stopę, bo już gdzieś odlatywało, a raz drugie za kłaki. Lecieliśmy razem i razem żeśmy o tę ziemię pierdyknęli.

Opracował: Reb. Janusz Baranowski